

Kraków
10-10-2013
DZ. / Nr 237

RECENZJA

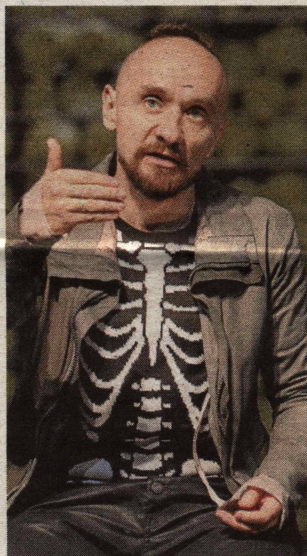
Intelektualna zadyszka Jana Klaty w Krakowie

► Jan Kłata
pokazał spektakl
w Starym Teatrze
► „Do Damaszku”
odwołuje się
do Strindberga

Łukasz Maciejewski

W drodze „Do Damaszku” Strindberga w reżyserii Jana Klaty, zgodnie z zapowiedziami twórców, mieliśmy spotkać Pana Boga, neoboga z krainy matrix wraz z interseksualnymi obcościami, oraz szereg prawd mniej więcej objawionych.

Nic z tego: metafizyka (nawet ideologicznie zwichrowana) ulotniła się w uroczych i atrakcyjnych wizualnie, ale artystycznie i intelektualnie płytkich konstatacjach, przypominających odkrycia sześciolatk w rodzaju „czarna krowa w kropki bordo gryzła trawę kręcąc mordą”. Zamiast krowy w „Do Damaszku” mamy everymana (światny Marcin Czarnik), zamiast kropek – trupie czaszki, a bordo wyparły złowroźne beże, niemniej przesłanie jest analogiczne. Ba-



FOT. ANDRZEJ BANAS

Jan Kłata lubi szokować

lon ambicji okazał się w środku równie skomplikowany jak wierszyk przedszkolaka.

Trudno odmówić talentu Kłacie oraz jego współpracownikom: scenografowi Mirkowi Kaczmarowskiemu oraz Maćko Prusakowi odpowiadającemu za ruch sceniczny. Teatralne receptury działają bez zarzutu, a oryginalnych pomysłów scenicznych nie brakuje, niemniej nawet najlepiej

nastawiony widz zmuszony jest raczej uwierzyć na słowo, że chodzi o Strindberga, poważne pytania i poważną literaturę, „Do Damaszku” przypomina baraszkowanie niegrzecznej drużyny harcerskiej w teatralnej składnicy ZHP pod nazwą „U Heleny”.

Do pewnego momentu frywolna formuła spektaklu wydawała mi się nawet zabawna i pojemna, ale nadmiar konceptów przy braku wyrazistej reżyserkiej kontroli nad ich selekcją zamienił spektakl w atlasowy funeralny performans. Staram się rozumieć intencje twórców. W rzeczywistości, w której wszystko jest zbiorem wzajemnie się wykluczających klisz, nawet śmierć przestaje być tabu, stając się trwałą częścią zardzewiałej popkultury, dlatego szarpanina idola (Czarnik) łączącego dezynwolturę Jamesa Deana, image Marcella Mastroianniego z „Osiem i pół” oraz charakter Adriana Leverkühna z „Doktora Faustusa” Manna, wydaje się jedynym możliwym wyjściem. Na szlaku odysei bezsensu idol spotyka niewinną-niewierną Żonę (fantastyczna Justyna Wasilewska) albo schizofreniczno-autystyczną siostrę w wywroto-

wej, zachwycająco formalnej kreacji Doroty Segdy. Żeby jednak kakofonia spraw wielkiej i małej wagi mogła należycie wybrzmieć, trzeba było odnaleźć odpowiedni klucz do uporządkowania scenicznego chaosu, tak by nie rymował się jedynie z toporną bezwysciowościścią, ale pozostawiał widza w dyskomforcie, być może w osłupieniu. To się nie powiodło. Scena tonie w czaszkach, intencje twórców lewitują w myślowym brokacie.

Szybkie tempo przedstawienia nie jest w stanie zniwelować emocjonalnej i intelektualnej zadyszki. Aktorzy „Starego” sprawdzają się nie tylko w słownej gimnastyce, dowcipny, znakomity duet wokalo-funeralny stworzony przez Aldonę Grochał i Beate Paluch dopowiada co niedopowiedziane, a trupi antyk miesza się ze śmiercionośnym barokiem. Doceniam tego rodzaju wygibasy, nie przeszkadza mi zmasakrowanie tekstu Strindberga, ale z perspektywy widza gra wydaje się czcza, nie ma żadnego znaczenia. Zamiast iluminacji – uśmiech, znudzenie, ziewnięcie. Dobranoc idole, dobranoc. Na pewno nie założę twojego fan klubu.